



Nr. 9. *Z dnia 23-go sierpnia 1903 r.*

ZERWALI!

Ta miłość którą przędli, była równą jak nitka — więc wprędce się im znudziła.

Zwłaszcza jej, jednej z takich, które mają kręcone drobno włosy na karku i skroni, a oczy poznaczone iskierkami koloru nasturcji.

Oboje byli nerwowi, a nerwy ich unormowała i trzymała na grzecznej uwięzi dusza ich miłości.

Chodzili po łanach równo rosnącego zboża — po parku wersalsko przyciętym i wystrzyżonym we frazesy banalne i pocałunki chłodne, a za niemi płynęła jak biały paw o djamentowej egretce — dusza ich miłości.

Wiodła ich na jedwabnych cuglach dobrego wychowania i konwenansu, ich którzy oboje (zwłaszcza on) byli cyganami życia — wrogami powszedniości. I było to dla nich niepojętem, niezrozumiałem — dlaczego oni dwoje, którzy mieli wszystko w sobie, aby doznać strasznych wstrząśnień, wić się i łkać w rozpaczy i szale — owinęli się w tak spokojną, cichą, gwiaździstą miłość — zaciszną i równą jak dobrze wyrośnięta grzęda błękitnych niezabudek.

Gdy wykwitł pomiędzy niemi z uścisków rąk, z zamienianych słów, z roztapiających się wzajemnie spojrzeń — świątynny kwiat miłości — powitali go z trwogą i rozkoszą — czując że w życie ich wewnętrzne wniknie teraz piorunowy blask szału. Przypadli do siebie spragnieni gorącego waru, jaki kłębił się w ich duszach i z drżeniem nerwów, spodziewali się godzin cudownych, w których się równocześnie kocha bez pamięci i nienawidzi — bezdennie.

Lecz stanęli naprzeciw siebie zdumieni smutnie i nagle niemal puści i cisi. Chłód powiał śmiertelny. Jakiś całun dzielił drżące harfy ich nerwów. Zrozumieli, że będą się kochać według form i że miłość ich przywdziała pudrowaną maskę menuetowej figurki. Zamienili ukłon, pofrunęły pocałunki i słowa. A przez nieprzebyty całun, dusze ich były wciąż wyczekujące i śmiertelnie smutne, a nerwy ich harfowemi struny — rozpięte w przestrzeni czekały na jęk, na płacz, na ból, na tryumfalny krzyk, na kojącą ciszę, na senną tęsknotę... czekały napróżno...

* *

Codziennie zjawiał się on o zmroku na przeciw niej i wchodził w krąg lampy o błękitnym, księżycowym blasku. W kręgu tym siedziała ona w jasnej domowej sukni, która jak wielki posłuszny biały chart u ślicznych jej stóp się kładła. Wyciągała rękę, na której bielały duże, delikatne kamee, wyciągała rękę na powitanie, lecz nie wysyłała duszy swej na zwiady. Przestała bowiem czekać i spodziewać się. Widziała przed sobą cały ogród zgody i cichego spokojnego zmroku.

Jednostajnie świeciła błękitna lampa, jednostajnie spotykały się ich źrenice i mieszały pocałunki.

Aż wreszcie, zupełnie nagle — któreś z nich, w tę rozbłękitnioną przestrzeń rzuciło słowo: "zerwanie". Któreś powiedziało „gdybyśmy zerwali"...

Targnęły się ich dusze, harfy nerwów

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 23 Sierpnia 1903 r.

zajękły cichutko. Był to jakiś lekki cień tych wrażeń, na jakie czekali. Lękali się je spłoszyć. Ona jednak (jako kobieta) mimo tej sensacji wyczekiwanej, nie zaniedbała zdawkowości codziennej. Roześmiała się, zarzucając na to słowo delikatną zasłonę żartu. Niemniej jednak rozkoszne wrażenie strasznego bolu, trwogi, pozostało w nich noc całą.

I gdy się zeszli znów w błękitnem świetle lampy, gdy ona znów wyciągnęła ku niemu rękę, na której bielały kamee, oboje czuli jak chcą, jak pragną, jak żyją i oddychają pożądaniem powtórzenia się wczorajszego dreszczu. Lecz oboje nieśmieli, zdjęci jakimś dziwnym, duchowym wstydem.

I słowo „zerwanie“ tailo się jak rozkwitły płomienny kwiat wśród wypolerowanych płyt mauzoleów ich miłości — lecz zjawić się znów nieśmiało....

Lecz już było, istniało i cicho, tajemniczo — wypełniało przestrzeń.

* * *

Przeszło kilka wieczorów w pozornem odrętwieniu sennem i oto ona brutalnie pierwsza zerwała zasłonę. Nie mogła dłużej milczeć i czekać. I znów padło „gdybyśmy zerwali“ — teraz bez śmiechu, bez osłony żartu. Lecz nerwy ich drgały słabo, przyswoiły sobie snać szybko truciznę. Odczuli to oboje, spojrzeli sobie w źrenicę. Mętne były i wzajem nie siejące nienawiścią. I teraz on, z pewną brawurą patrząc w głąb jej, rzucił „g d y z e r w i e m y“. — Jej źrenice rozszerzyły się — pobladła w koronie swych włosów i siedziała napozór martwa, w hieratycznej pozie kamiennego Anioła. Ten ból, który ona teraz odczuła, to był prawdziwy ból, to było państwo smutku, które się przed nią otwarło. — Uczuła, że idą oboje po krawędzi otchłani. — To wizyjne przeczucie nie dało jej rozkoszy cierpienia. G d y z e r w i e m y nie było już kwiatem mauzoleów, to był motyl istniejący, który skrzydłami swemi bił w światło błękitnej lampy...

I struny jej nerwowej harfy umilkły, a w sercu wzrastał ból...

* * *

Lecz z czasem i ten ból przywarł się do jej serca przyzwyczajeniem. — Teraz już jak rakietami rzucali ku sobie słowa straszne i chwytali je w siatki — śmiejąc się tak, że oboje w tym śmiechu wyczuwali światy całe. — G d y z e r w i e m y... mówili do siebie — co poczniesz? — czy będziemy się znali dla ludzi, czy przechodzić będziemy obok siebie zimni i wystygli?...

G d y z e r w i e m y... czy oddasz mi ukłon gdy spotkamy się sami na jakiej oddalonej ulicy. Czy...

G d y z e r w i e m y czy cień nasz, cień wspomnień przesunie się w kręgu takiego błękitnego światła, czy nasze słowa rozpięte w powietrzu, powrócą cichą falą w taki wieczór jesienny? —

G d y z e r w i e m y... czy nigdy nie wrócimy do siebie w wizyjnej egzystencyi dwojga dusz — dwojga ciał, które były niemal jednością, czy siłą woli nie przebędziemy tej przepaści, która dzielić nas wówczas będzie...

G d y z e r w i e m y...

To wszystko mówią oni, siedząc naprzeciw siebie w otoczeniu ukochanych i kochających martwych rzeczy, w szlachetnej ciszy miłej egzystencyi. Mówią z gorzkim uśmiechem badając się wzajemnie, mówią jeszcze cicho, jak się mówi przy kimś, który leży w gługiej, tragicznej agonji.

* * *

Oswajają się powoli z istotą rzeczy smutnych, stanowiących tragiczność miłości. Oswajają się zbierając sobie wzajemnie z ust więdnące kwiaty rozstania. — I oboje mają do siebie żal, że teraz to „gdy zerwiemy“ zżyło się z niemi i wydaje się im naturalnem i wchodzącem w program ich istnienia. — Gorączka ich ogarnia, pragną się torturować wzajemnie. Zaczynają się nienawidzić i chcą łez pomiędzy sobą. — On ją wyprzedza w tem bolesnem pożądaniu. Dręczy ją i nęka. — W błękit lampy wpada demon szyderstwa, włóczący duchową stronę ich uczuć z całą siłą i nieubłaganą grozą. — Ona się broni instyktownie — odmawia daniny łez. — Może czyni to z egoizmu, wiedząc, że w takich łzach mężczyzna znajduje tylko rozkosz — kobieta ból. — Niemniej jednak w jej oporze tkwi tyle tragicznej rozpaczy, iż zaczyna się pomiędzy niemi straszna walka dwojga istot, szarpiących się wzajemnie bez przyczyny, bez winy — w szaleństwie nerwów i udręczeniu ducha. — Nie wyczuwają jednak tej rozkoszy, za jaką dążyli. Ogarnia ich niesmak. — To nie burza miłosna, to zawierucha fatalna i rwąca na strzępy. — Harfy ich nerwów nie drżą rozkosznie, smagane cierpieniem, lecz wydają zgrzyty niszczące i trudne do zniesienia. Demon nie kieruje nawet ich rozwichrzonymi czynami. — Same już plączą się żrąc i raniąc — a od krwi odwracają się ze wstrętem i nienawiścią — zamiast powoli zatapiać się w ekstazie rozkoszy. I przychodzi czas, przychodzi chwila, gdy z ust ich obojga pada równocześnie prawie straszne, czarne od smutku słowo.

— Z e r w i j m y!

* * *

Gdy słowo to pomiędzy dwoje kochanków padnie — pozostanie już jak ziarno wschodzące z szybkością cudu na ożywionej glebie. — Promienie palących poprzednich chwil rozwijają to słowo do potęgi niszczącego potworu. I wyrasta sfinks żałobny — trzymający w pazurach dwa serca, dwie istoty ludzkie, spojone jeszcze miłosnem drżeniem, miłością rozpaczy pełną. — Sfinks o wielkich kamiennych oczach rozdziera te spojone życia i nie patrząc na nie rzuca je każde osobno na przeciwległe brzegi przepaści. — I jest ich dwoje naprzeciw siebie — tak bliskich, a tak dalekich, że oczy ich nawet w sobie nie toną, bo źrenice ich rozbiegają się, jak płoszone ustawiczną błyskawicą — motyle. —

A pomiędzy niemi wielka Tajemnica ich serc, ich przeszłej wspólności duchowej, ich przeszłych rozkoszy i udręki, ich wieczorów letnich, pełnych woni i ciszy, ich nocy jesiennych, pełnych smutnego jęku, skarżących się na wichurę drzew, ich zawodów, ich uśmiechów, ich słoneczności i ciemni, różowych wrzosów ich miłości i czarnych irysów ich nienawiści...

To wszystko jest pomiędzy niemi, to wszystko być musi pomiędzy takim dwojgiem, którzy — zerwali.

* * *

Powiedzieli wspólnie: „zerwijmy“ i — zerwali istotnie. —

Rozeszli się nagle, w jesienny wieczór bez żalu, nie obróciwszy za sobą głowy. —

Odetchnęli.

Wrócili do dawnego trybu życia. Kobieta weszła w samotny krąg błękitnej lampy, on — przywołał do siebie swe dawne upodobania, miłostki.

A jednak. —

Choć pomiędzy nimi głębia przepaści tak wielka, że nigdy nie zdołają przebyć jej i zniszczyć, to może nigdy nie kochali się tak bardzo, tak pełno, tak prawdziwie jak wtedy właśnie, gdy — ze sobą zerwali! —

Nawet widmowem życiem nie żyją ze sobą, nawet widmowem, smutnem życiem... a przecież jakże silnie, jak bardzo silnie kocha się tych dwoje!

I teraz ona — siedząc w świetle błękitnej lampy, hieratyczna i blada, mając krąg swej domowej szaty u stóp swych, jak wiernego białego charta, nie odmawia mu więcej daniny łez. — Płyną, płyną po jej twarzy gorące i lśniące, drżą na rzęsach, spadają na jej ręce, na których bielą się kamee...

W serce jego — tam w dali po drugiej stronie przepaści — łzy te wtapiają się gorącą lawą. On je czuje, on je kocha, on je pieści, te łzy tragiczne i ciche. On kocha te spłakane źrenice, te ciche zamknięte usta, tę duszę kobiecą, którą czerń rozpaczy gasi powoli i rozkwit jej rozwiewa...

Kocha, cierpi, tęskni —

A jednak zerwali!...

CZTERY DNI W TATRACH

(FRAGMENT Z WYCIECZKI)

NAPISAŁ BRONISŁAW ROMANISZYN.

...Stanęliśmy wreszcie na Kozim Wierchu. Pogoda dopisała — widok wspaniały. Nie darmo ten szczyt od kilku lat stał się „modnym“ — bo też droga na niego niezwykle interesująca — a widok wywierający dziwne — niesłychane wrażenie. Lokujemy się, jak komu wygodniej, wśród bloków granitu, wiszących nad otchłanią a stanowiących szczyt Koziego wierchu i z uwagą i zamiłowaniem turystów, staramy się poznać i zapamiętać wszystkie szczegóły tej przedziwnie wspaniałej panoramy.

Uroku tego opisać niepodobna. Ogromna ilość wrażeń ciśnie się do głowy i piersi, przykuwa do miejsca, upaja i ubezwładnia. Okrzyki zachwytu powoli milkną i nastaje jakiś dziwny nastrój, jakaś uroczysta cisza, a każde słowo razi, jak kamień wrzucony do spokojnej, o zwierciadlanej powierzchni — toni jeziora, zalanej złotem światłem zachodzącego słońca...

Czasem tylko, jakby cichy szept modlitwy, doleci szum siklawy od doliny 5 stawów, czasem wiatr zaszumi wśród skał i głazów, i znowu niczem niezmącona cisza. A w około jak duchy piętrzą się szczyty gór, wyzywające, dumne, zimne, podobne — jak mówi Deotyma — do ucieleśnionej myśli potężnej, bez odrobiny uczucia...

— Ludzie! — zawołał ktoś koło mnie.

— Gdzie?

— Na Świnnicy!

Wpatrzyłem się w szczyt tej ogromnie stąd imponującej piramidy i zobaczyłem, jak na jasnym tle nieba zaczerniały poruszające się dwa czy trzy „atomy“. Widocznie ludzie Ci spostrzegli nas wcześniej, gdyż powitali nas przeciągłym okrzykiem, który doszedł do nas w postaci jakiegoś dziwnie cichego echa.

Odpowiedzieliśmy im także, a echo niosło nasz głos i do nich i gdzieś w dół ponad Zmarzły Stawek, do Czarnego Stawu, obiło się o Granaty i Żółtą Turnię, a zginęło gdzieś w Buczynowych Turniach i w otchłani doliny 5-ciu Stawów.

Wkrótce potem znikli, a koło nas znowu zapanowała cisza, a w sercach naszych zaległ smutek, tęsknota po ludziach, których nie znaliśmy a nawet nie widzieli...

Ciekawym, czy spotkamy kogo dziś na Kozim Wierchu? — rzekł mój towarzysz P. W.

Nie zdołałem jeszcze odpowiedzieć, gdy nagle usłyszałem za sobą wyraźne głosy ludzkie. Pospieszyłem na południową stronę szczytu i zobaczyłem tuż pod szczytem towarzystwo składające się z dawnego znajomego Macieja Roja, dwóch Panien R. towarzyszek wielu moich wycieczek i Pana Z.

Wśród okrzyków powitania, wśród zdziwienia

z powodu tak niezwykłego spotkania, zaprezentowałem Paniom moich towarzyszy wesołego Pana W. i flegmatycznego w chodzeniu na szczyty Pana Dra M.

Następnie rozpakowanie prowiantów i biesiada, kto wie czy nie lepsza i wspanialsza, jak dawnych bogów na Olimpie.

— A dokąd Panowie stąd idą? — spytała Panna J.

— Nie! Nie mamy ważnego powodu do powrotu. Ot wybrałyśmy się tylko na jeden dzień a w domu z pewnością wywołabyśmy wielki niepokój, gdybyśmy dziś nie wróciły. Jednak z taką ochotą poszłybyśmy dalej!...

— Jest na wszystko rada — rzekł P. W. — z Morskiego Oka damy przez kogokolwiek znać o tem, że idziemy w dalszą wycieczkę a prowiantów dostaniemy w schronisku. Niech się Panie zdecydują.



[Z Słowiańskiej Wystawy fotogr. w Wieliczce. — M. Dudryk, Lwów (dyplom honorowy) „WIOSNA".

— Nie mamy ułożonego programu — odpowiedziałem; — w każdym razie idziemy na noc do Morskiego, a tam obmyślimy dalszą drogę.

— A my musimy dziś wracać w Zakopane, choć serdecznie zazdrościmy Panom dalszej drogi, gdyż na jutro zapowiada się cudna pogoda.

— Hej! jutro będzie pikna pogoda — zauważył Maciej Roj.

— Czy koniecznie Panie muszą dziś wracać?

Po dość długiej a przerywanej ciągłymi wybuchami śmiechu naradzie na szczycie Koziego Wierchu, który pewnie czegoś podobnego nigdy nie słyszał, Panie zdecydowały się pójść z nami dalej a nawet coraz częściej słychać było słowa: przez Rysy — Wysoka — Krywań — itd.

W krótkim czasie potem byliśmy już w drodze do schroniska w dolinie 5 Stawów.

(D. c. n.)

Letnia stolica Polski.

II.

Opowiedziałem w zarysie dzieje Zakopanego, wykazałem, jak w ewolucji swojej stanęło na wyżynie dnia dzisiejszego, jak z małej, nieznanej wioski góralskiej stało się w krótkim stosunkowo czasie — europejską stacją klimatyczną, a zarazem letnią stolicą Polski. Ten podwójny charakter Zakopanego jest dzisiaj jego cechą, jakiej nie posiada żadne inne polskie uzdrowisko. Temu podwójnemu charakterowi zawdzięcza Zakopane swoje naczelne stanowisko między analogicznemi miejscowościami, rozgłos, jakiego używa, miłość, jaką otacza je społeczeństwo. Jak „Sokolstwo“ nasze dla swych dwojakich celów z tak niekłamaną, szczerą, a żywą spotyka się u nas sympatją — tak i z pojęciem Zakopanego dwie kojarzymy dzisiaj cechy. Zniweczyć jedną z nich, znaczy odebrać Zakopanemu jego dotychczasowy charakter i znaczenie, strącić je dobrowolnie z zajmowanego stanowiska. Rzecz jasna, iż każdy, kto kocha Zakopane, kto chce i potrafi zrozumieć w czem leży jego wartość dla nas Polaków, będzie się starał tylko o rozwój jego w kierunku, tak szczęśliwie wytyczonym mu przez Zarząd gminy, a aprobowanym przez społeczeństwo Gdy zaś wszyscy stali mieszkańcy Zakopanego są zarazem gorącymi jego zwolennikami, zdawałoby się, że w tej kwestji różnicy zdań między nimi być nie powinno...

A jednak istnieje tutaj pewna koterya, zwąca się ... „partją postępu“. Jej widoma głowa Dr. Janiszewski, innego jest zdania. Chciałby on całe Zakopane zamienić na stację klimatyczną „par excellence“ dla chorych na gruźlicę, zmienić je na jedno wielkie sanatorjum dla suchotników. Z projektem tym występował już niejednokrotnie, napotykając jednak zawsze na silny opór ze strony prawdziwych miłośników Zakopanego. Już Dr. Tyszkiewicz, były delegat gości, zwalczał go skutecznie na wiecach, mając za sobą olbrzymią większość wiecujących. Również wypowiadały się przeciwko temu projektowi powagi lekarskie, jak prof. Jordan, Merunowicz i inni.

Z pośród wielu argumentów „contra“, dwa najgłówniejsze tutaj przytoczę:

Pierwszy ściśle rzeczowy, podnoszony przez fachowców: Zakopane nie nadaje się na stacyą klimatyczną chorych na płuca bo

1-mo: aura w miesiącach letnich obfituje w zbyt częste opady atmosferyczne, stąd powietrze nie jest suche, temperatura niejednostajna — co jak wiadomo, szkodliwem jest dla gruźlicznych. Muszą oni niejednokrotnie w tych miesiącach opuszczać Zakopane, szukając w Meranie, Griess, Arco lub na Riwierze odpowiedniejszych dla siebie warunków.

2-do: Zakopane jest stanowczo za duże, za rozległe, aby przekształcić je w tego rodzaju uzdrowisko.

Powyższe orzeczenia specyalistów, znawców, mówią same za siebie. Dodajmy do nich jeszcze zdanie przyjaciół Zakopanego: — utrzymują zupełnie słusznie, iż w razie urzeczywistnienia projektu Dra Janiszewskiego, straciłoby ono swój dotychczasowy charakter narodowy, przestałoby być ogniskiem, skupiającem w lecie wybór polskiego narodu. Tysiące rodaków z pod obcych zaborów, ludzi zmęczonych, lecz zdrowych, którzy przyjeżdzają tu w ciągu roku pomarzyć u stóp tych jezior, co barwią się w granat, podumać na granitach i turniach, pokrzepić ducha na polskiem Podhalu — ustąpićby musiały kilkuset suchotnikom, których wyzdrowienie w dodatku nie zupełnie byłoby pewne.

Reasumując to wszystko, oświadczyć się wypadnie przeciwko projektowi Dra Janiszewskiego. Niechaj wreszcie powstają sanatorya dla chorych, nawet humanitarne dla ubogich, lecz izolowane, daleko położone, jak to Dra Dłuskiego. Zakopane jednak samo zostawmy dla zdrowych, a wtedy tylko nie straci ono dla nas na wartości, lecz owszem, cenniejszem jeszcze kiedyś stać się może.

Że Zakopane odgrywa istotnie niepoślednią rolę w dziejach naszego narodowego życia — dowodem, że styl zakopiański obrano za podwalinę stylu polskiego, będącego jeszcze „in statu nascendi“.

Ślicznym, w swoim rodzaju, jest góral w swoich skórzanych kierpcach, obcisłych, wyszywanych szarawarach, wzorzystym serdaku i szerokim, czarnym kapeluszu z muszelkowym paskiem. Jest to wspaniały motyw dla artysty, o tęgich, wyrazistych linjach i harmonji barw. A kiedy jeszcze zarzuci białą gunię na szerokie bary i ciupagę chwyci nabijaną, nabiera ten syn gór tyle rysów dzielności i swobody, że nie dziw, iż tak liczni artyści zakuwali go w marmur lub rąbali w drzewie, rzucali na płótno lub papier. Swą własną ma on gwarę, wierzenia i pieśni, swoją także otacza się sztuką. Przejawia się ona w strojach, sprzętach, budowli. Jak wiele tężyzny jest w tym ludzie, tak niespożyte zasoby jarej siły w jego sztuce. Trzeba tylko umieć patrzeć i szukać. Znaleźli się jednak zapaleni badacze, jak Eljasz, Chałubiński, którego wpływowi i inicjatywie zawdzięczamy ten zbiór bogactw, mieszczących się dzisiaj w muzeum jego imienia.

Dembowski, Matlakowski — a przedewszystkiem Witkiewicz, zebrali i ogłosili wyniki poszukiwań w dziedzinie miejscowego budownictwa. Witkiewicz pracował nad uszlachetnieniem i spopularyzowaniem stylu chaty zakopiańskiej, starając się

naszą architekturę narodową oprzeć na budownictwie tatrzańskiem. Jemu to zawdzięczamy te piękne wille zakopiańskie, jak: dom pp. Pawlikowskich, „Konstantynówka", „Bałamutka", „Warszawianka" i wiele innych. Każdy kawałek drzewa, każda belka, posiada tu swoje przeznaczenie, składając się z innemi na niezwykle ujmującą, charakterystyczną całość. Wreszcie pojawił się w latach ostatnich w Galicji znany komiwojażer sztuki: Feliks Jasieński. I on zajął się sztuką Zakopanego, nawołując społeczeństwo, aby czerpało pełnemi rękoma z tej przebogatej skarbnicy Podhala. „Suknia Polki" — jego pomysłu, biała, lamowana, wzorowana jest na strojach góralskich.

To ogromne zainteresowanie się sztuką Zakopanego, jest w związku z ruchem, który uważając lud za fundament narodu, chce sztukę polską na ludowych oprzeć wzorach. Powstałe niedawno w Krakowie Towarzystwo: „Polska sztuka stosowana", poszczycić się może już pewnym dorobkiem w pracy około tego wielkiego dzieła. I jeśli ten chwilowy zapał nie okaże się tym naszym przysłowiowym „ogniem słomianym", przestaniemy może kiedyś naśladować Francuzów, Niemców, Włochów, Turków czy Japończyków i w tej świątyni, którą ludzkość wznosi Sztuce — polskie budować zaczniemy ołtarze. △

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Sprostowanie. W ostatnim numerze naszego tygodnika, w artykule p. Gabryeli Zapolskiej zaszła pomyłka w nazwisku. Ochronka w Zakopanem zawdzięcza swe istnienie staraniom ks. Kaszelewskiego, a nie ks. Janusza, jak mylnie zostało wydrukowane.

Goście przebywający w zakładzie dr. Chramca zebrali na zabawie dnia 14 b. m. 60 Kor. Kwotę tę przeznaczono na rzecz ochronki miejscowej i oddano do rozporządzenia ks. Kaszelewskiemu.

Wieczór wokalno-muzykalny w połączeniu z przedstawieniem amatorskiem odbędzie się 22-go w sobotę, w sali zakładu Dr. Chramca. Dochód przeznaczony na ochronkę imienia św. Jadwigi w Zakopanem.

Łaskawy współudział w wieczorze przyrzekli: znakomita artystka p. Gabryela Zapolska, od kilku dni dopiero bawiący w Zakopanem ulubieniec publiczności p. Gabryel Górski, p. Pilawska (śpiew), p. Jeruzelska (fortepian), p. Krzewiński i inni. Na przedstawienie wybrano „Przyjaciela", sztukę w 1 akcie Marco Pragi i „Precz z postępem", humoreskę sceniczną E. Goucourta, graną w Krakowie na pierwszem przedstawieniu trupy dramatycznej p. Gabryeli Zapolskiej.

Zjazd kolejarzy. W sobotę 15 bm. przybyło do Zakopanego osobnym pociągiem kilkuset kolejarzy ze Lwowa.

Sokoli. W dzień uroczystości odsłonięcia pomnika Chałubińskiego, zawitała do Zakopanego drużyna Sokolska — około ósmej rano witano ją przy dźwiękach muzyki górskiej.

Orszak bijący siłą i zdrowiem, podążył do kościoła. O godzinie 9 odbyła się msza w kościele parafialnym; celebrował ks. kan. Sobierajski.

Następnie odbyli Sokoli ćwiczenia na boisku przy parku klimatycznym, zbudowanym dzięki ofiarności hr. Zamoyskiego.

O godzinie 3 odbyły się ćwiczenia pod kierunkiem pana Rucińskiego, naczelnika Sokoła krakowskiego.

Ćwiczenia, którym przyglądała się bardzo licznie zebrana publiczność, wypadły znakomicie.

W niedzielę odbyła Sokolska gromada wycieczkę na Giewont.

Bal akademicki na Bratnią Pomoc. Niezwykle wesoło i ochoczo bawiono się w poniedziałek w Morskiem Oku. W sali udekorowanej pięknie smerekami, stanęło przeszło 70 par. Towarzystwo było dobrane i dobrze sobie znajome, bo byli to tancerze i tancerki z reunionów sobotnich u Bauera, czwartkowych u Chramców i z wieczorków, które co jakiś czas odbywają się w „Szałasie". Nie przesadzę chyba, gdy powiem, że prawie wszystkie panie były piękne. Gdyby kto chciał wybrać królową, z trudnością by mu to przyszło. Tańce były znakomicie prowadzone przez znanego w Krakowie prowodyra pana Walczaka, to też przeciągnęły się do rana. Na piękny cel zebrało się sporo, bo oprócz sali natłoczonej, wszystkie loże i cała galerya były zajęte.

Zjazd geologów. 14 bm. o godzinie pół do piątej przybyło do Zakopanego 26 uczonych różnych narodowości. Geologów przywitali na dworcu: hr. Zamojski, który im użyczył gościny w Kuźnicach, oraz wiceprezes Towarzystwa Tatrzańskiego, Dr. Ponikło. Przed obiadem, który się odbył o 7-mej wieczorem w sali Towarzystwa Tatrzańskiego, zwiedzali goście kościół parafialny, Krupówki, Dworzec Tatrzański i t. d. Na obiedzie prócz gości obcych, zebrało się kilkadziesiąt osób, znanych z działalności na polu nauki i sztuki. Widzieliśmy tam Kazimierza Tetmajera, prof. Axentowicza, dyrektora Barabasza, prof. Kostaneckiego, Kramsztyka z Warszawy i innych. Gości powitał po francusku Dr. Ponikło. Uczta wśród ożywionej rozmowy przeciągnęła się do 10-tej wieczorem.

Towarzystwo Tatrzańskie wystarało się od ka-

nonika ks. Sobierajskiego o pozwolenie przewodnikom oprowadzania geologów. O szóstej rano w Sobotę po mszy w Kuźnicach, ruszono w góry przez Liliowe. W niedzielę po mszy świętej zwiedzono Czerwone Wirchy i Giewont, a w poniedziałek Dolinę Kościeliską, poczem jedni z uczestników Zjazdu udali się do Morskiego Oka, inni ruszyli przez Krzyżne i przy Morskiem Oku nastąpił powtórny rozdział. Część poszła do Schmeksa przez Polski Grzebień, część wróciła do Zakopanego.

ECHA ZAKOPIAŃSKIE.

Najdonioślejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia było odsłonięcie pomnika Chałubińskiego. Mamy wszyscy żywo w pamięci przebieg tej pięknej uroczystości, ale nie od rzeczy będzie jej słów kilka poświecić. Trzeba wyznać z ręką na sercu, że mogło być lepiej, niż było.

Oto co w tej sprawie pisze korespondent „Dziennika Polskiego", którego słuszne uwagi zasługują na przytoczenie:

Przedewszystkiem więc uderzał powszechnie fakt, że dokoła pomnika zebrało się na uroczystość stosunkowo ludzi niewiele. — W dniu tym bawiło w Zakopanem do 10.000 osób, a na uroczystość pospieszyło zaledwie 200—300, a to: komitet i jego otoczenie, część lwowskich wycieczkowców, małe gronko letników, oraz służba, handlarze miejscowi i gawiedź uliczna. Miejscowe instytucje ograniczyły się na wysłaniu kilkunastu delegatów z wieńcami. Liczniej było reprezentowanem tylko Towarzystwo tatrzańskie i sekcja lekarska. Natomiast z ludu, któremu śp. Chałubiński był ojcem i który jemu wyłącznie zawdzięcza, że z nędzarzy stał się ludem zamożnym i uświadomionym, — jawiło się zaledwie kilku górali miejscowych i przypadkowi widzowie, wracający ze świątecznego nabożeństwa z kościoła parafialnego!

Gmina nie była urzędownie reprezentowaną, a dowiedziałem się, że stało się to z tego powodu, iż komitet, pomimo zapytania ze strony naczelnika gminy, nie przyznał jej przedstawicielowi głosu przy odsłonięciu pomnika. Wszystko to w wysokim stopniu osłabiało uroczystość, która wyglądała na jakąś demonstrację, nie miłości i hołdu dla zasłużonego męża, ale raczej nienawiści osobistej dla osób żyjących.

Wynikła stąd jeszcze ta oryginalność, że właściwie nie było komu oddać pomnika pod opiekę, bo gmina jako taka, nie miała sposobności oświadczyć, czy go przyjmuje i czyli będzie się starała o utrzymanie go. Niesnaski te były powodem usunięcia się większości poważnych osób od udziału w święcie.

Drugą, znamienną cechą obchodu, był dobór mowców i treść niektórych przemówień. Było aż dziewięciu mowców, a między tymi czterej lekarze, jako przedstawiciele rozmaitych stowarzyszeń fachowych medyków. Czy pomnik zakopański wzniesiono Chałubińskiemu, przedewszystkiem jako medykowi? Czyli też uroczystość miała być tryumfem nauki medycyny w uczczeniu działalności dra Chałubińskiego w Tatrach?

Ale były i gorsze dysonanse. Jeden z mowców wyzyskał osobistość czczonego nieboszczyka w tym celu, ażeby zabawić się w historjozofa i polityka. Oświadczając, że śp. Chałubiński był stanowczym przeciwnikiem (?) powstania narodowego w r. 1863, mowca B. pozwolił sobie na kilka uwag pod adresem „idealistów", którzy to powstanie usprawiedliwiają, a działalność Chałubińskiego przestawił jako wskazówkę realnej pracy w przeciwieństwie do ruchu z roku 1863!

Z uznaniem należy podnieść, iż szanowny polityk spotkał się z dzielną odprawą. Jan Kasprowicz, który później przemawiał, dał mu dosadną i piękną odpowiedź w swej charakterystyce działalności Chałubińskiego.

Mowę Kasprowicza przyjmowano z zapałem, a dziękowano za nią huraganem oklasków. Była też to jedyna mowa, godna uroczystej chwili.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Te słowa skreślone pewnem, rozwlekłem pismem młodej dziewczyny, wypełniały jedną stronę karty. Na rogu stały dwa *p. p.* i na odwrotnej stronie Racksole przeczytał:

„*P. s.* Zwróć baczną uwagę na Rocca."

— Co tam nowego odkryła ta mała? — dziwił się w duchu, drąc kartę na drobne kawałki, rzucane do kosza; poczem nie tracąc chwili, spuścił się windą dla obserwowania Rocca na jego polu zajęć. Trudno mu było uwierzyć, aby ten

słodki, pańskich obyczajów człowiek, ten mistrz zamiłowany w sztuce kulinarnej, miał brać udział w intrygach Juliana i temu podobnych łotrów. Z nawyknienia poszedł jednak za radą córki, pokładając zupełną ufność w jej rozumie i darze jasnowidzenia.

Kuchnie hotelu Babilon należą do wyjątkowych w Europie cudów postępu. Trzy lata przed opisywanymi wypadkami Feliks Babilon kazał je nanowo urządzać, zaprowadzając w nich wszelkie ulepszenia i wynalazki, praktykowane na obu półkulach. Kuchnie te zajmowały niemal powierzchnię całej włóki kwadratowej. Podłoga i ściany, wykładane taflami marmurowemi, zmywane były starannie każdego rana. Goście przychodzili tu często oglądać maszynę parową do gotowania kartofli, drugą do mycia i obsuszania talerzy; rożen, wynalazku Babilona, srebrne ruszty, nowego systemu garnki, rondle i wiele innych zdumiewających w tym rodzaju nowości. Szczęśliwsi mogli poznać osobiście artystę, nadającego cukrom i ciastom kształty ludzkie lub zwierzęce dla ozdoby stołu; najzręczniejszego w Londynie człowieka w nakrywaniu stołów obrusem i misternem układaniu serwet; najzdolniejszego rysownika, wytwarzającego codzień inne wzory na pasztety i blamanże. Pracowało w tych kuchniach dwunastu kucharzy, mając do pomocy dziewiętnastu ukwalifikowanych asystentów i nieprzeliczoną ilość kuchcików. Nad nimi wszystkimi stał Rocco, najwyższy, nieprzystępny władca. W pośrodku szeregu ciągnących się kuchni miał on swój prywatny apartament, gdzie obmyślał wspaniałe kombinacye gastronomiczne, smakowite, oryginalne potrawy, które zyskiwały mu sławę. Goście hotelowi nie widywali nigdy w kuchniach Rocca, lubo on w niektóre dni wieczorem przechadzał się niedbale po sali jadalnej, z miną wielkiego człowieka, pozwalającego łaskawie składać sobie należne pochwały.

Nagłe ukazanie się Racksola w kuchni wywołało trochę zamieszania; milioner ukłonił się starszym kucharzom i nie mówiąc ani słowa, szedł między stosami naczyń miedzianych, wsród ludzi przybranych biało od stóp do głowy. W końcu dojrzał Rocca, otoczonego kilku podziwiającymi go kuchmistrzami. Rocco pochylony stał nad świeżo upieczoną kuropatwą, leżącą na półmisku. Dużym widelcem ujął ją za grzbiet i uniósł lewą ręką ręką w powietrze. W prawej dłoni trzymał długi, połyskujący nóż kuchenny. Dawał jedno z przedstawień zadziwiającej zręczności w rozbieraniu ptactwa. Czterema pewnemi, trafnemi cięciami rozkroił prawidłowo kuropatwę. Świetne to dzieło, dokonane z niezrównaną dokładnością, znawcy tylko należycie ocenić mogli. Kuchmistrze przyklasnęli gorąco, a Rocco, obojętny, skłonił się z wdziękiem i odszedł do swego apartamentu, tam Racksole podążył za nim. Gospodarz, nie zauważywszy obecności właściciela hotelu, usiadł na krześle i przysłonił oczy ręką.

— O czem tak rozmyślasz, panie Rocco? — zapytał Amerykanin z uśmiechem.

— Ah! — zawołał kuchmistrz, zrywając się na nogi — *pardon!* Obmyślałem nowy majonez, który umieszczę w jadłospisie w przyszłym tygodniu.

— Takie wynalazki czynisz napamięć, bez odpowiednich materyałów? — dowiadywał się Racksole.

— Nie inaczej. Tworzę je z głowy. Na co mi materyały? Smak ich zarówno jak zapach znam dobrze. Myślę, myślę i rzecz skończona. Kreślę na papierze przepis, dając go najzdolniejszemu z moich kucharzy do wykonaniu. Nie potrzebuję kosztować nawet potrawy; wiem z góry, że będzie smaczną. Zupełnie jak kompozycya muzyczna. Wielcy kompozytorowie nie tworzą dzieł swoich przy fortepianie. Dlatego właśnie, że umiem pracować w ten sposób, płacisz mi pan trzy tysiące funtów rocznie — rzekł z powagą.

— Słyszałeś co o Julianie? — zagadnął nagle Racksole.

— O Julianie?

— Tak jest; przyaresztowano go w Ostendzie — dowodził milioner, rozmyślnie podając wieść fałszywą. — On i kilku innych stoją pod zarzutem morderstwa... otrucia Reginalda Dimmocka.

— Rzeczywiście? — mruknął Rocco, z trudnością powstrzymując się od ziewania. Okazywał tak zupełną obojętność, że Racksalowi wydała się ona przybraną maską do odwrócenia podejrzeń.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	. .	o 10 min. 25 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	. .	o 7 min. 5 rano. o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	. .	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	. .	o 2 min. 36 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	. .	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	. .	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	13/8	14/8	15/8	16/8	17/8	18/8	19/8
Termom. such.	20·2	19·2	22·5	15·7	14·I	13·9	21·2
„ wilg.	18·3	17·1	17·4	14·8	10·6	11·6	17·2
Ozon	5	12	5	10	10	8	11
Term. maxim.	35·9	34·8	37·5	32·7	27·6	31·2	33·2
„ minim.	12·2	13·1	9·7	15·2	7·9	8·8	11·4
Term. na bar. .	23·8	21·8	22·8	20·1	18·4	17·8	23·7
Barometr . . .	699·7	699·3	693·8	692·9	694·9	694·9	691·3
Kierun. i szyb. wiatru . . .	NNW 4	SSE 4	WWS 6	WWN 8	NNW 6	NNW 7	WWS 4
Stop. zachmurz.	7 kłęb.	5 kłęb.	0	8 mgl.	7 kłęb.	5 kłęb.	5 kłęb.
Wysok. opadu	0	0	0		0	0	0
Uwagi	pogod.	pogod.	pogod.	deszcz	pogod.	pogod.	pogod.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Adolf Nowak.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.